



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie
Kwartalnie. rs. 1.
Za odnośnienie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 17 Sierpnia 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Straszna bajka (wiersz). — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Z dziedziny nauki i wynalazków (dokończenie). — Żałobnik, przez A. Juliana Perry, przekład T. Prażmowskiej (dokończenie). — Polyhymnia. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. W dodatku: Silniejsza niż nienawiść, powieść przez Leona de Tinseau, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 5).

STRASZNA BAJKA.

(ZE WSPOMNIENIŃ DZIECINNYCH.)

— Hej — nianiu!... już zmierzchy
Padają na wierzchy
Lipowych naszych drzew...
Praw bajki, starucho,
Nuć do snu na ucho...
Niech brzmi twój cichy śpiew.

— A o czym mam prawić?
Co śpiewać? czym bawić?
Już wszystkie piosenki wiesz.
Zakłeta królewna,
To bajka zarzewna,
Dziś pewnie innej chcesz?

— Tak, nianiu!... Mnie trzeba
Szelestu, chmur z nieba,
Z piorunów pieśń mi zwij!..
Niech burza przeleci,
Ogniami zaświeci,
Gromami błysnie żmij!

— Duch wszelki!... co tobie?
Ja tego nie zrobię,
Lękam się grzmotu burz.
Ja wolę, kochanku,
W powieści swej wianku
Sto złotych ujrzeć róż.

— Niel... pieśni tej nie chcę,
Bo pieści, bo lechce,
Aż serce mdleje mi.
Ja lubię pogodę,
Lecz chętniej wzrok wiodę
Po niebie, które grzmi.

Tak ślicznie, gdy nocą
Pioruny migocą,
Na czarnem łonie chmur!
Gdy błyski ogniste,
Płomienne, to krwiste
Płaczą się w długi sznur.

Czy nie znasz tej bajki,
Gdzie wichry dmą grajki,
Próbują dębów moc?
— Znam, dziecko, niejedną,
Lecz ustka ci zbledną,
Niedobrze przejdzie noc.

Tak, zuchu mój mały,
Ty będziesz drzeć cały,
Serduszkciem trwożnie bić,
Gdy bajka, co spłynie
W tak późnej godzinie,
Zwinie się w czarną nić!

— Mów, nianiu — mów prędko!..
Ja uchem jak wędką
Będę ją chwytał wciąż...
Wszak, nianiu, ja muszę
Wojacką mieć duszę,
Wszak z dziecka rośnie mąż!

Jeżeli się strwożę
To główkę położę,
Zakryję oczy tak!..
Ty zmiłkniesz w pół baśni:
Ten strach ci wyjaśni,
Że ze mnie trwożny ptak!

— Więc słuchaj!... „Daleko,
„Za górą, za rzeką,
„Nie dojsz ci, zuchu, tam!
„Wśród uschłych powoi,
„Posępny gmach stoi,
„Sto wież ma i sto bram.

„Na murach mchy rosną,
„Czy zimą, czy wiosną,
„I niebo wiecznie w mgłach.
„Na basztach zamczyska
„Straż dżierzą wężyńska,
„A wewnątrz mieszka strach.

* * *

„Kto wejdzie do środka,
„Wnet widmo go spotka
„U gmachu siódmych drzwi.
„Ma dłonie spętane,
„Na piersi swej ranę,
„A w ręku czarę krwi.

* * *

„Potrzeba być zuchem,
„By za tym iść duchem
„I twarzą patrzeć w twarz,
„I spełnić z rąk mary
„Krwie świeżej pół czary,
„I przy niej trzymać straż.

* * *

„A wkoło zamczyska
„Coś jęczy, grzmi, błyska,
„Szatański krąży tan;
„I dzwonią w łańcuchy,
„Zwyczajnie złe duchy,
„Mieszkańce pustych ścian!

* * *

„A mara na przedzie
„Wciąż dalej cię wiedzie
„W ciemności głuchą toń —
„Pochyla się — bladnie...
„I ręce swe kładnie
„Nie pierś twą czoło — skroń...”

* * *

...Krzyk nagły z dziecięcej
Padł piersi... Na ręce
Piastrunki runął zuch.
Zerwała się niania,
Sen... widmo odgania,
Lecz Staś już mara-duch!

* * *

Nad dzieckiem schyłona
Wyciąga ramiona,
Unosi krwawą dłoń.
Pochyla się — bladnie...
I ręce swe kładnie
Na pierś mu — czoło — skroń!

Kazimierz Gliński.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem i dni następnych Konrad się nie pokazywał, a na nowy liścik pani Kamilli, w którym donosiła, iż postępowanie spadkowe musi się jeszcze przewlec, natomiast zaś pieniądze z rewersu znajdując się już u niej i mogą być każdej chwili podniesione, odpowiedział również listownie, iż dziękuje za jej trudy najserdeczniej, musi jednak, z powodu innych ważniejszych interesów, zaniedbać jeszcze na jakiś czas dalszych starań około tej sprawy. Obiecywał wkońcu usprawiedliwić się z tego oświadczenia, za widzeniem, nie naznaczał jednak żadnego terminu swoich odwiedzin.

List był grzeczny, uniżony, ale kreślony w widocznym pośpiechu, wydał się też pani Kamilli tak suchym i lakonicznym, że nie chciała go Mani pokazać i wcale nie wspomniała przed nią o tej korespondencji.

— Powinien był sam przyjść po moim liście, a nie odpisywać! — szepnęła do siebie, mniąc z gniewem tę odpowiedź.

I znowu dwa dni minęły bez żadnej wieści.

Zjawienie się Marczewskiego, który właśnie w tym czasie przybiegł z wizytą, musiało być wobec tego bardzo pożądanem. Pani Kamilla przyjęła go uprzejmie, spodziewając się dowiedzieć nareszcie czegośkolwiek o panu Konradzie, a i Mania ożywiła się na widok miłego towarzysza niedawnej przechadzki.

Marczewski jednak ani myślał spełnić życzenia pani Kamilli. Dowcipkował, opowiadając, jak szli tu razem ze Schwartzem i jak ten utknął w drodze, spotkawszy się najniespodziewaniej z własnym ojcem, który przybył za interesami. Przeszedł następnie na najświeższe plotki towarzyskie, starając się bawić niemi obie panie, a trzeba przyznać, że tę rolę dorosłego salonowca odgrywał bez zbytecznej przesady, z taktem i wdziękiem, które świadczyły, iż istotnie dużo się już obracał po świecie.

Dopiero pod koniec wizyty pani Kamilla zaczęła sama o pana Konrada.

— Cóż to za sprawy, trzymają go tak na uwięzi, zdala od ludzi, od znajomych? — spytała.

— Doprawdy, sam nie wiem! — odparł Kazięk ze zwykłą sobie otwartością.

Poczem ją opowiadać, iż od czasu przyjazdu spotyka go prawie codziennie, zawsze jednak na krótko, jakby w przelocie. Zaledwie mają czas zamienić po parę wyrazów, a dwukrotnie już umawiali się o spotkanie, które jednak, z winy Konrada, nie doszło do skutku. Tyle pewnego, że Konrad w ostatnich czasach gorączkowo pracował nad rozprawą, skończył ją już nawet, zakreślając jej mniejsze niż zamierzał poprzednio granice, a to wszystko w celu jaknajśpieszniejszego pozyskania stopnia. Widocznie bardzo mu na tem zależy, pośpiech ten bowiem nie leżał dawniej w jego planach i zadziwił kolegów.

A powiedziawszy to wszystko prawie jednym tchem, przeszedł czempredziej na inny przedmiot rozmowy, jakby wstydziło go to, iż tak mało może

powiedzieć o przyjacielu, którego niedawno pod niebiosą wynosił, a raczej jakby sam czuł o to do niego urazę.

— Ach, prawda! — rzekł znowu, przerywając sobie i zwracając się już wprost do Mani, — ta panienska, którąśmy tam na spacerze widzieli, to istotnie siostra dawnego nauczyciela pani...

— Dobrześmy się więc domyślali — odparła Mania, siłąc się na obojętność.

— To pani była tak przenikliwa...

— Pan jednak poddał mi tę myśl, zwracając uwagę na ich podobieństwo.

— Prawda! Dowiedziałem się nadto od Schwartz'a, bo on, mimo wszystko, umie zawsze Konrada wyszukać i zaprzyjaźnić się przytem z panem Zawadzkiem, że ta panienska bardzo jest chora. Tam muszą być suchoty, bo i Zawadzki, zdaje mi się, tylko wysiłkiem się trzyma.

— Biedacy! — szepnęła Mania szczerze, czując napływające do oczu łzy.

— Tak, tak — mówił dalej Marczewski, — teraz mi to dopiero uderza. Bodaj, że i ta choroba jest jednym z powodów tego gorączkowego zajęcia się Konradem. Wczoraj spotkałem go w dorożce, z jednym z profesorów i z innym jeszcze lekarzem, pomyślałem jednak w pierwszej chwili, że to może owa ukończona już rozprawa spotkanie to spowodowała. Tak, teraz widzę, że on musiał wiczyć ich do tej chorej.

Zapanowało chwilowe milczenie, które Marczewski wziął za znak do zakończenia tej pierwszej wizyty i powstał czempredziej.

Spostrzegł zaraz, że panie nie myślały pozbywać się go jeszcze, pani Kamilla bowiem poczęła go z zajęciem wypytывать o tę nieszczęśliwą, nie chciał już jednak przeciągać wizyty, zwłaszcza że nie umiał dać żadnych więcej objaśnień.

— Pojmuje pan — mówiła przy pożegnaniu pani Kamilla, — że obchodzi nas to zarówno ze względu na pana Dąbrowskiego, jak i na to, że to siostra nauczyciela Mani.

— Ach, Boże! pojmuje zupełnie! — zapewnił Marczewski.

Teraz jednak dopiero poznał, że w tem zainteresowaniu siętewi jakaś osobista troska obu tych pań. Jedno bystrzejsze spojrzenie na bladą twarzyczkę Mani utwierdziło go do reszty w tych domysłach. Panienska była blizką łez i siłła się tylko na spokój i obojętność. Konrad — może nawet mimowolnie — musiał tu być winowajcą, to już dla Każka nie ulegało teraz żadnej wątpliwości.

Żal jakiś ścisnął mu serce, ale tylko na chwilę. Przemogła litość nad tem biednym dziewczęciem, które nie wiedziało w tej chwili, co z sobą począć, i po raz trzeci już podawało mu rączkę, jakby chciało go i pożegnać czempredziej i zatrzymać zarazem.

Nie chciał dłużej przeciągać tej przykłej sytuacji. Pragnął teraz tylko być przyjacielem tej ślicznej panienski, przyjacielem szczerym, serdecznym, oddanym, i niczem więcej.

Zwracając się do pani Kamilli, oświadczył, że w każdym razie znajdzie sposób, aby się o wszystkim najdokładniej poinformować.

— Pozwolą więc panie, że wpadnę tu znów, gdy dowiem się czegoś pewniejszego? — spytał przy pożegnaniu.

Otrzymałszy zaś z ust pani Kamilli szczerą zachętę do nowych odwiedzin, wybiegł rozgorączkowany, myśląc o odkrytej przypadkiem tajemnicy ślicznego dziewczęcia.

Wiedział już teraz, że się nie myli. Żadne słowa nie mogłyby być wymowniejszymi od tego nie-

pokoju, jaki dostrzegł na twarzy Mani, gdy była mowa o Konradzie.

— Ach! ten Konrad! ten Konrad! Czy on się domyśla chociaż tego szczęścia, za które ja tak wiele bym oddał! — szeptał, zbiegając ze schodów.

Postanowił też zrzucić pychę z serca, zapomnieć o wszystkim i rozmówić się z Konradem otwarcie.

Los usłużył mu w tem nadszpiegowanie, pobiegłszy bowiem wprost do mieszkania Konrada, zastał go właśnie w domu.

Drzwi były uchylone i klucz od zatrzasku tkwił jeszcze w zamku, a Konrad, który widocznie przed chwilą dopiero tu przybył, o czem świadczyły porzucone na krzesło jakieś paczki, paltot i kapelusz, chodził po pokoju wielkimi krokami, nie widząc wcale wchodzącego.

Marczewski musiał podejść i zatamować mu drogę, dopiero Konrad go spostrzegł.

— Ach, to ty! Jak się masz? — zawołał, jakby zbudzony z myśli.

— Ja! I nawet nie zgadniesz, z kąd i z czem przychodzę? — mówił Marczewski, ściskając dłoń przyjaciela.

Konrad, jakby nie dosłyszał tego frazesu, rzekł:

— Siadaj!

I wskazał przybyłemu krzesło przed biurkiem.

Sam jednak nie przerywał swojej przechadzki, jakby myśli nie dały mu usiedzieć.

Marczewski teraz dopiero poznał, że łatwiej coś postanowić, niż wykonać. Uczuł pewne skrupuły. Czyż bowiem miał prawo mieszać się do tej sprawy, nieproszony o to przez nikogo? Był jednak przekonany, że przychodzi z dobrą nowiną, a myśl o biednej Mani dodała mu odwagi.

Usiadłszy, począł opowiadać o wizycie swojej u pani Trzcinińskiej.

— Wiem, żeście się do nich zbliżyli. Widziałem was przecie na spacerze! — przerwał Konrad.

— Al nie o tem mówię. Byłem u tych pań dziś... Oczekują tam i ciebie... tęsknią za tobą...

— Wiem. Miałem list. To w sprawie tego spadku...

Marczewski, widząc to roztargnienie przyjaciela, który chodził wciąż po pokoju z rękami, założonemi na głowę, zawahał się na chwilę, postanowił jednak brnąć dalej.

— Nie zdaje mi się, aby tu o spadek chodziło. — począł. — Tyś tam z innych względów pożądany.

Teraz dopiero Konrad zatrzymał się przed Marczewskim, uderzony ostatnimi jego słowami.

— Jakto? — spytał.

— Przepraszam cię — mówił dalej Kaziek, — że się w to mieszam, ale doprawdy, muszę. Zauważyłem to już podczas owego spaceru, gdyśmy ciebie spotkali, dziś zaś utwierdziłem się w tem ostatecznie...

— W czem? O czem ty mówisz?

Marczewski raz jeszcze się zawahał.

— Ehl! — rzekł wreszcie, widząc, że cofnąć się już trudno. — Musiałeś przecie i sam spostrzedz, że ta biedna Mania ogromnie tobą zajęta!

Konrad zbliżył się z wolna ku przyjacielowi i ujął go za obie dłonie.

— Kaziek! Kaziek! Zbierz zmysły! Z kąd ci to przyszło?

— Z kąd!... Oczy mam!... Widzę!... Możesz gniewać się na mnie, że się mieszam w twe sprawy, bo zresztą i ja sam czuję już teraz, że to dzieciństwo z mej strony, i wyrzucam to sobie... Ale trudno! Tak mi jej żal dziś było, że ci to musiał powiedzieć...

Tyle było szczerzego przekonania w słowach Marczewskiego, że Konrad zamyślił się i usiadł zgnębiony na krzesło.

— Rzeczywiście — rzekł, załamując ręce, — że tylko przyjaźń może usprawiedliwić taką interwencją!

Potem, jakby czuł potrzebę jakiejś spowiedzi, począł:

— Słuchajże więc, bo muszę ci teraz wszystko powiedzieć... Ja mam już narzeczoną... Znamy się prawie od dzieci i kochamy oddawna... Domyślił się: siostra Wiktora... Wieczór, w którym spotkaliście nas na spacerze, był właśnie naszym wieczorem zaręczynowym... Kocham i jestem kochany, dzieli nas tylko nieszczęście... ona chora!

Marczewski zakrył oczy dłonią, jakby przed nagłym blaskiem, jaki z tych słów padał na jego umysł.

— Właśnie nazajutrz po tym spacerze — mówił dalej Konrad, — ciężko zasłała. Biedę umiała znosić, szczęście wyczerpało jej siły. Co prawda, wysilała się w ostatnich czasach, aby stan swego zdrowia zataić przed nami. Oszukała i mnie i Wiktora. Ztąd wszystko zle!

— Czemum ja o tem wcześniej nie wiedział, czemu? — szepnął Kaziek.

Konrad, jakby nie słyszał tego westchnienia, począł znów po malej chwili:

— Powiem ci nawet więcej. Bo widzisz, ja wiem, że to moje szczęście nie będzie długo trwało. Ona ma suchoty. Idzie już teraz tylko o przedłużenie jej życia. Wszystkie starania moje temu celowi poświęcę. Każda chwila życia, którą uda mi się wykraść dla niej, będzie moim rajem. Sam nie myślałem nigdy, abym tak mógł kochać! Oh, Każku!

Powstał i przeszedł się po pokoju.

— A ty mnie pytasz — mówił dalej po chwili, — czym ja tam czego nie dostrzegł? Ha, może i widziałem coś w oczach tej panienki, co powinno być mi było zadziwić. Ale, wierz mi, brałem to tylko za życzliwość. Nie chciałem i nie chcę wiedzieć o niczem. Wszystkie myśli moje należały już wówczas do siostry Wiktora... Sumienie nic mi nie wyrzuca. Nie dałem żadnego powodu... Zresztą, to dziecko jeszcze. Gdyby nawet tak było, jak mówisz, wyleczy się jeszcze z tego. Miłość, której wszystko wzbronione, umiera z pragnienia. Tak tu być powinno. Sam się o to postaram. Pójdę, bo i tak dla interesu spadkowego pójść tam muszę, i przyznam się otwarcie do tego, że już mam narzeczoną.

Marczewski porwał się z krzesła.

— Ach, tylko nie to, nie to! — zawołał, łamiąc ręce.

— Dziecko z ciebie, Każku! To byłoby najlepsze lekarstwo. Gorzkie, ale skuteczne!

— Ach, nie, nie! Zlituj się! Trzeba obmyślić coś innego! To byłoby okrutne!

Na schodach dały się słyszeć szybkie kroki, których odgłos przez uchylone jeszcze ciągle drzwi żywo do pokoju wpadał.

— Teraz szal — rzekł Konrad. — To on!

— Kto?

— Zawadzki... Nie lubisz go podobno?

— Teraz... teraz już lubię. Takie głupie we mnie serce, że każde nieszczęście zawsze je rozbraja... A on także nieszczęśliwy!

Dąbrowski uśmiechnął się smutno i uściśnął dłoń Każka.

— Zaczne serce! Wiedziałem o tem! — rzekł.

W progu, w kapeluszu na głowie, obłożony także jakimiś paczkami, zjawił się Wiktor.

— Jestem! Mam wszystko! Idźmy! — zawołał, ledwie dysząc ze zmęczenia.

Marczewski podsunął się ku niemu z wyciągniętą dłonią.

— Witam pana! — rzekł.

Wiktor, zdziwiony cokolwiek, gdyż nie spodziewał się tu nikogo, zdjął naprzód kapelusz, a następnie uściśnął podaną dłoń.

Konrad przez ten czas pozbierał swoje paczki i przywdział paltot.

— Do nie! — szepnął na ucho Każkowi.

Obaj przyjaciele mieli ręce zajęte, więc Kaziek pomógł im zamknąć drzwi i klucz wsunął do kieszeni Konrada.

Na ulicy rozeszli się i Marczewski, jak zbity, powlókł się z wolna do domu.

Zastał Schwartza, który właśnie przed chwilą pożegnał się z ojcem.

— Nie przyszedłeś na obiad, według obietnicy... I Konrad nie był i ani słówka nie odpisał... Stary mój ma do was obu pretensją! Powiedział, żeście oboje ladac!

Mówił jednak to wszystko bez gniewu, owszem, jakby żartem, i teraz dopiero spostrzegł zmienioną twarz towarzysza, który milczał uparcie.

— No, cóż ty taki? — spytał. — Co ci jest?

Kaziek długo nie odpowiadał.

— Daj mi pokój! — rzekł wreszcie, siadając przy oknie i zasłaniając się od wzroku przyjaciela. — Co? co?... Ot, byłbym, gdybym... mógł!

I rozplakał się istotnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNAŁAZKÓW.

Błąd pospolity w mowie i piśmie. — Obserwatorium pod Nizzą. — Oznaczenie stron świata zapomocą zegarka. — Plony naukowe z wieży Eifla. — Śnieg w salonie. — Panorama. — Piła dyamentowa.

(Dokończenie.)

Jeżeli wieża Eifel nie budzi już obecnie w szerszych kołach publiczności takiego zajęcia, jak podczas wielkiej wystawy 1889 roku, to zato zaczyna już przynosić spodziewane owoce dla nauki, zwłaszcza dla meteorologii, która ma na niej poświęconą sobie postrzegalnę. Pomijając świeżo zbudowany kosztem i staraniem Eifla olbrzymi 300-metrowy manometr, pozwalający mierzyć aż do 400 atmosfer, wspomnimy dziś o wypadkach badania temperatury wyższych warstw powietrza i mierzenia szybkości wiatru.

Wierzono dotąd, że wmiarę wznoszenia się w górę, temperatura powietrza stale się obniża w przybliżeniu o 1 stopień (Celsjusza) na każde 180 metrów wysokości. Ztąd wniosek, że na wierzchołku wieży powinno być zimniej przeszło o półtora stopnia, niż na równinach, otaczających Paryż; tymczasem postrzeżenia, czynione od Lipca 1889 roku, dowodzą, że różnica ta nie jest jednakową, że w lecie i podczas dnia jest ona znacznie większą, a w zimie i podczas nocy mniejszą, niż to wypada z rachunku, że owszem, w tych ostatnich porach ro-

ku i dnia bywa czasem na wysokości 300 metrów daleko cieplej, niż u spodu wieży.

Ta sprzeczność pozorna tłumaczy się latwo. Wiadomo, że powietrze posiada bardzo słabą zdolność pochłaniania promieni ciepła i wysyłania ich z siebie, że zatem mało rozgrzewa się w dzień i mało oziębia się w nocy. Ztąd wynika, że wahanie się temperatury na znacznych wysokościach w ciągu doby musi być daleko mniejsze, niż przy ziemi, która daleko silniej pochłania ciepło przychodzące od słońca i daleko prędzej je utracą przez nocne promieniowanie, a przez to mocniej oziębia w nocy i mocniej rozgrzewa w dzień spotykające się z nią dolne warstwy powietrza. Dlatego podczas nocy jasnych i cichych, kiedy ziemia oziębia się szybko, a warstwy leżące na różnych wysokościach nie mieszają się z sobą, zdarzało się nieraz, że temperatura na wierzchołku wieży bywała o 5 do 6 stopni wyższą, niż przy jej podstawie.

Zauważono także, że przy zmianach pogody, zmiana temperatury na wierzchołku objawia się częstokroć na kilka godzin, a nawet na kilka dni wcześniej, niż przy ziemi. Tak od 21 do 24 Listopada, u szczytu, przy nagłym i silnym wietrze południowo-zachodnim, temperatura podnosiła się szybko, kiedy w tymże czasie przy powierzchni ziemi powietrze było spokojne i chłodne, niekiedy aż o 10° zimniejsze, niż o 300 metrach powyżej.

Co się tyczy prędkości wiatru, to średnia jego szybkość przy wierzchołku wieży, wyprowadzona ze spostrzeżeń czynionych w ciągu 101 dni, od połowy Czerwca do Października 1889 roku, wyniosła 7 metrów na sekundę, kiedy w tymże czasie na wysokości 21 metrów nad ziemią była ona trzy razy mniejszą.

Jest-to prędkość wcale pokaźna, bo wynosi 23 i pół wiorst na godzinę, co dowodzi, że szybkość wiatru bardzo prędko rośnie wraz z wysokością. Zbadanie praw tego wzrostu może mieć ważne znaczenie dla żeglugi powietrznej.

* * *

Obłoki, z których pada śnieg, nie składają się, jak deszczowe, z drobnych pęcherzyków wodnych, wypełnionych parą, ale z cieniutkich igielkowatych kryształków lodowych, które, skutkiem zamarzania coraz nowej pary wodnej na ich powierzchni, rosną i płaczą się z sobą podczas spadania, tworząc najrozmaitsze postacie złożone, czyli tak zwane płatki śniegowe. Zjawisko to przywykliśmy widzieć na otwartym powietrzu, ale nie nie przeszkadza, aby nie mogło ono odbywać się i w przestrzeni zamkniętej, na przykład w pokoju.

Tak właśnie zdarzyło się ubiegłej zimy w jednym z salonów Sztokholmu, gdzie znajdowało się podówczas liczne towarzystwo. Noc była mroźna, ale w pokoju było gorąco i tak duszno, że kilku z obecnych dam zrobiło się niedobrze i wypadło nagwałt odświeżyć i ochłodzić powietrze. Służący próbował otworzyć okno, ale na próżno, bo mocno przyzamknięta rama nie dała się oderwać; nie widząc innego sposobu, wkońcu wybił szybę, a skoro przez otwór wpadł do salonu strumień zimnego powietrza, natychmiast śnieg zaczął obficie padać na podłogę. Oczywiście powietrze w pokoju było nasycone parą wodną, nagromadzoną przy oddychaniu znajdujących się w nim osób, albo przynajmniej bliskie nasylenia; skoro zatem nagle mocno oziębionem zostało, część owej pary zakrzepła w kryształki lodowe, z których utworzył się śnieg.

* * *

Od pewnego czasu pojawiają się gazetach wzmianki o zamiarze urządzenia w Warszawie stałej panoramy, która w wielu wielkich miastach Europy stanowi jedno z widowisk stale przyciągających publiczność. Czy się ten zamiar urzeczywistni, czy też, przy znanej naszej przedsiębiorczości, pozostanie w krainie martwo urodzonych projektów, może nie będzie od rzeczy podać na tem miejscu treściwy opis urządzenia panoramy, która została wynalezioną przed stu laty w Anglii przez Roberta Barkera.

Istotną częścią panoramy jest wielki obraz jakiegoś miasta, portu, bitwy, okolicy i t. p., namalowany na stronie wewnętrznej pasa płóciennego, przedstawiającego szeroki pierścień, a raczej próżny walec, na którego osi znajduje się oko widza, patrzącego na to kolistie malowidło. Całe urządzenie obliczone jest na to, aby widz, oprócz obrazu, który go zewsząd otacza, nie mógł widzieć żadnego innego przedmiotu, bo tylko przy zachowaniu tego warunku może on doznać zupełnego złudzenia. Jakoż wtedy tylko możemy zapomocą samego wzroku sądzić prawdziwie o wielkości i odległości przedmiotów, jeżeli jednocześnie widzimy inne, których wielkość i odległość jest nam znana. Gdy takich przedmiotów nie mamy przed okiem, wtedy tracimy wszelką podstawę do czynienia porównań i wówczas wnioskujemy całkiem fałszywie, ulegamy złudzeniu. Patrząc na obraz objęty ramą, nie omylimy się i będziemy wiedzieli zawsze, że to, co on przedstawia, jest malowidłem a nie samą naturą, bo możemy go porównać z ramą i z tem co się znajduje na ścianie za jej konturem. Przeciwnie, jeżeli nasze oko, przebiegając całą otaczającą nas przestrzeń, nie widzi nic innego oprócz dokładnie oddanych wizerunków części składowych jakiegoś obrazu, wtedy, nie znajdując żadnych punktów porównawczych, myli się i mniema, że ma przed sobą rzeczywistą naturę. Na tem właśnie polega urządzenie panoramy.

Wyobraźmy sobie budynek murowany, mający postać okrągłego bębna (walca), nakrytego dachem, który ma kształt stożka (lejka) zwężającego się ku górze. Średnica tego bębna w wielkich panoramach dochodzi aż do 50 metrów, a jego wysokość do 16.

We wnętrzu i w samym środku tego budynku, na połowie jego wysokości, wznosi się odosobniona zewsząd platforma, przeznaczona dla widzów, a całą ścianę wewnętrzną pokrywa ów pas kolisty, na którym namalowany jest obraz. Dwa końce pasa, czyli dwa jego brzegi pionowe, są ze sobą spojne. Przedmioty, wchodzące w skład krajobrazu, są narysowane podług zasad perspektywy; w tym celu dawniej do robienia konturów używano ciemnicy optycznej, potem trzymano się sposobów nauczanych przez geometryę wykreślną, albo posilkowano się fotografią, a obecnie najczęściej artysta malarz rysuje wszystkie szczegóły od oka, bez żadnych środków pomocniczych. Od jego talentu i znajomości sztuki zależy w największej części wywołane wrażenie.

Środkowa część dachu jest nieprzezroczysta; tylko zewnętrzny jego obwód, dotykający ściany bębna, zrobiony jest ze szkła, w kształcie poziomego kolistego pasa, który służy do oświetlenia obrazu światłem padającym z góry. Nad głową widzów rozpięta jest nadto szara zasłona, która nie dopuszcza do ich oczu tego światła, a oprócz tego zasłania górny brzeg obrazu, tak że nie można widzieć gdzie się kończy płótno, a nareszcie zapobiega, aby ciało widza nie zostało oświetlone i nie rzuciło swojego cienia na płótno obrazu.

Dolny brzeg obrazu jest także zasłonięty i niewidoczny, a przed nim ustawiają się na podłodze rzeczywiste przedmioty, udające pierwsze plany krajobrazu, z którymi on zlewa się stopniowo, co się wielce przyczynia z wywołania złudzenia.

Widz, przychodzący do zewnątrz, dostaje się na platformę przez ciemny korytarz, przyczem zaciera się w jego oczach poprzednie wrażenia świetlne. Gdy stanie na platformie i po zupełnej prawie ciemności ujrzy odrazu wszystkie szczegóły mocno oświetlonego obrazu, wtedy z początku oczy jego ulegają pewnemu zamętowi, lecz szybko nawykają do światła i zaczynają stopniowo rozpoznawać pojedyncze części widoku. Po krótkiej chwili występuje całkowite wrażenie i widz nie może się oprzeć przekonaniu, że ma przed sobą nie malowany obraz, ale rzeczywistą naturę.

* * *

Wiadomo, jak ważne miejsce zarówno w budownictwie, jak w inżynierii, jako materiał pierwotny, zajmuje kamień ciosany. Otóż wyrabianie ciosów z rozmaitych gatunków kamienia, częstokroć bardzo twardego, było aż dotąd z powodu braku odpowiednich narzędzi pracą wielce mozolną, pochłaniającą wiele trudu i czasu. Używane w tym celu piły stalowe działają powolnie i łatwo się tępią; dla tego już od lat trzydziestu robią się próby zaopatrzenia ich w zęby z materiału twardszego niż stal.

Naturalnym porządkiem rzeczy musiało się nastręczyć myśli wynalazców najtwardsze ze wszystkich ciał ziemskich, dyament; myśl ta została urzeczywistnioną i dziś najlepszą z istniejących maszyn tego rodzaju jest piła pp. d'Espine i Achard. Jest-to piła kolistą, czyli okrągłą płytą stalową, na której obwodzie są osadzone, w sposób właściwy a bardzo trwałe, drobne dyamenty, odgrywające rolę zębów. Bardzo umiejętnie obmyślony mechanizm sam podsuwa pod tę piłę bryły kamienne i pozwala nadawać im ruch w dowolnym kierunku, a piła przy swoim obrocie kraje je na sztuki żądanej grubości i kształtu, przyczem powierzchnia przekroju jest zupełnie równa i gładka. Średnica piły wynosi od $\frac{3}{4}$ metra aż do 3 metrów; przy pierwszej można wyrabiać ciosy, mające 30 centymetrów grubości i półtora metra długości; przy drugiej grubość ich dochodzi $1\frac{1}{4}$ metra, długość 3 metrów, a szerokość $2\frac{1}{2}$ metra.

Szybkość roboty zależy oczywiście od twardości krawanego kamienia, w każdym jednak razie jest ona od 20 do 50 razy większa, niż przy używaniu zwyczajnych pił stalowych. W piłarni marmurów braci Chaudet, w Clarens w Szwajcaryi, gdzie działają dwie maszyny tego systemu, otrzymano następujące wypadki: w białym marmurze kararyjskim piła posuwa się w ciągu 1 minuty o 15 centymetrów, w innych marmurach średniej twardości o 10, a w zielonym granicie alpejskim o 2 centymetry.

W. Skłodowski.

ŻAŁOBNIK.

PRZEZ

A. Juliana Perry.

PRZEKŁAD

J. Szałmowskiej.

(Dokończenie.)

Kochankę wziął sobie, musiał przecie ucześcić się czegoś... Było to dziewczę ze studenckiej dzielnicy miasta; ze śmiechem opowiadała mu, ilu przed nim miała kochanków. Pewnego dnia zszedł ją, ukradkiem list jakiś czytając.

— Oszukujesz mnie? — zagadnął dziewczynę.

A ona, spuściwszy głowę zawstydzona, odrzekła mu na to:

— Dziecko mam.

— Ty? Gdzież ono?

— Na wsi, pod Paryżem.

Popatrzył na nią czas jakiś, a potem, nic nie mówiąc, podał jej okrywkę i kapelusz.

— Nie mogłam przecie zabić go — szepnęła.

— Śpiesz-że się! — rzekł, drzwi otwierając. — Musisz pojechać po nie czempredzej.

W rok potem matka umarła; dziecię, chłopaczek czteroletni, pozostało sierotą.

— Gdzie mama? — żałośnie pytało w wieczór po pogrzebie, siedząc w łóżeczku.

Albert wziął malca na ręce i na pół nagiego, w kusej koszulinieiennej, stawiając go sobie na kolanach:

— Uważaj, Piotrusiu — rzekł, — mamą teraz ja będę.

Sława jego szerzyć się zaczynała, utwory przynosiły mu dochód niemały; kołysał niemi do snu dziecię, a dochodem wychowywał je starannie, wysoko sięgając ambicją dla tego syna duszy swojej, który ideałów jego i geniuszu miał być spadkobiercą.

Piotruś dochodził lat dziewiętnastu, gdy w skromnym mieszkaniu artysty zjawił się obcy gość jakiś.

— Bratem jestem Małgorzaty — rzekł, — przed laty dwudziestu pięciu wyjechał do Indyj, o niczem wiedzieć nie mogłem. Zrobiłem znaczny majątek... skoro siostra zostawiła syna, chciałem go poznać.

Po upływie pół roku, powrócił stary kawaler:

— Jadę do Anglii. Mam lat pięćdziesiąt, jestem bez rodziny, siostrzeńca mego chcę przybrać za syna.

Uśmiechnął się tylko Albert:

— Piotr moim jest synem, jam zrobił z niego człowieka. Czternaście lat przeszło żyliśmy razem, ja dla niego, on dla mnie. Niech sam stanowi o sobie.

Tegoż jeszcze wieczora przywołał młodzieńca do swego pokoju i, wesoło po głowie go gładząc, tak zgóry pewnym był jego odpowiedzi rzekł.

— Rozdzielić nas chcą, synku. Słyszałeś?

Młodzieniec schylił głowę zmieszany.

— Słyszałem — odparł niepewnym głosem.

— I cóż na to powiadasz?

Życie nie jest łatwe, ciężarem był przybranemu ojcu, bolało go to nieraz, a przytem wuj kocha go... rodzony to brat jego matki...

Długo tak mówił młody człowiek.

Albert słuchał go w milczeniu, czując, jak lodem ścina mu się serce.

— Dobranoc ci, ojcze, przyjacielu. Nie masz do mnie żalu, wszak prawda?

I milczeniem Alberta uspokojony, młody człowiek uściskał go radośnie.

W tydzień potem, pokój w którym sypiał przez lat czternaście, stał już pustką, a Albert błądził po ulicach, szukał sam, nie wiedząc czego.

Gdy po kilku tygodniach sprzykrzyło mu się wędrowanie bez celu, powrócił do pustego mieszkania. Czekala w niem na niego kochanka wierna, sztuka, cierpliwa jak przyjaciółka najlepsza i uśmiechnąć mu się gotowa. Otworzył fortepian, który pod drżącymi jego palcami śpiewać zaczął, i we łzach mu serce tajało, bo głos instrumentu wypowiadał tę boleść opuszczenia, na którą słów ludzkich nie ma, i przemawiał doń pociechą niewiadomo z kąd płynącą i był kimś niewidzialnym, kochającym go za niedolę jego.

I nad fortepianem śpiewającym, niby na sercu matki długo, długo głośnie płakał łkaniem.

* * *

Jesień! Zima! I znowu otworzyły się okna na słońce. Pracował; napisał trzy akty, z których próby teraz odbywano.

O! gorączkowe to życie, piekielne! Bo dzieło jego było nim samym, „słowem,” duszy jego wcieleniem, wszystkim co dotąd leżało w nim zagrzebane, nie mogąc wypowiedzieć się wyrazem dla siebie odpowiednim. Ale jakże wytłómaczyć to wszystko śpiewakowi? Tak obcym czuł się pomiędzy nim! A z primadonną, ulubienicą chwili, daleko jeszcze było gorzej.

— Słowik nasz! — u nóg jej leżący, wdychali kompozytorowie.

Żadnego pola do popisu w tej „marnej” roli, jak ją nazywała, klóćąc się o nią z dyrektorem.

I póty się klóciła, aż jej rolę odebrano. — Może pan spróbujesz śpiewaczki dublującej primadonnę? — nieśmiało zaproponował dyrektor.

Debiutantka to była z prowincji. Dwadzieścia lat miała, śliczną figurkę, uroczy uśmiech, w całej osobie coś łagodnie pieścizotliwego.

Gdy śpiewała przed nim po raz pierwszy:

— Miałabym sobie za takie szczęście śpiewać w operze pana — szepnęła, niespokojnem, błagalnem spojrzeniem pięknych oczu pytając Alberta o zdanie.

* * *

Tylko co skończyła się „premiera,” tryumf dla artysty, owacya dla debiutantki. Do loży, gdzie zdejmowała swój wieniec z gwiazd przy hałaśliwych powinszowaniach dyrektora i autora libretta, ostatni wszedł Albert.

— Dziękuję pani — rzekł poprostu.

Ona dłonie jego ujęła w dwie ręczki swoje:

— Doprawdy? zadowolonym pan jesteś?

— Głęboko szczęśliwym.

Wstrząsnęła tylko główką i z okiem w ziemię utkwnionem:

— Szczęśliwym! pan nie wiesz co to jest szczęście.

— Kto to pani powiedział?

Wzruszyła ramionami.

— Zgłodniałym pan jesteś... miłości. Nikt tego dotąd nie spostrzegł i ból pan masz w sercu nieustanny, a wyleczyć się z niego nie możesz. Tak!

Podniosła na niego oczy, ze źrenicą od łez wilgotną. Na dnie ich dostrzegł niewyraźnie przebiegającą duszyczkę, niby kwiat w pączku, słońca szukający by rozkwitnąć, dziecię dostrzegł, któremu kołysanki śpiewać wdzięczne. I wszystko co w głębi gdzieś serca miał w sobie miłośnie tkliwego, wszystko od roku przeszło jak opróżniona kołyska w sobie zamknięte, rozwarło się teraz raptownie pod spojrzeniem młodej dziewczyny, w ognich stanęło odświeżonych, jak świątynia Boga swego witająca z powrotem.

* * *

Drzwi mieszkania zamykały się za nimi.

— To dziwna — rzekła, — w dzień pierwszej Komunii tak mi się rwało serce miłością do Zbawiciela, że z płaczem mówiłam mu: umrzeć pragnę! Dziś, ciebie mam przy sobie, a tak samo rwie mi się serce do ciebie.

On do piersi swojej ją garnąc:

— Ty nigdy bólu mi nie zadasz, prawda? Nigdy? — szeptał, długim pocałunkiem pijąc z niej serce...

Było to w kilka godzin po ślubie.

* * *

Dwa lata! tak krótki przeciąg czasu, gdy jeszcze słońce opromienia.

Tej właśnie zimy wystawiano dramat liryczny B... jednego z mistrzów. Autorowie życzyli sobie mieć nowoschodzącą gwiazdę. Ach! na pierwsze danie zjedzono łakotki!

— Och! czemuż nie jestem bogatym! — mawiał Albert zachmurzony, wracając z prób, — śpiewałabyś tylko moje utwory.

— Nie chlubisz się więc powodzeniem swojej gwiazdki?

Spuszczał głowę, nie śmiejąc powiedzieć jej wszystkiego, jak cierpiał, widząc ją, rzecz poświęconą, ją, nowe życie jego serca, tak oswojoną z tą poufałością, z tem nietajonem pożądaniem mężkiem, które ją jak dziecko odurzały. Nie mówił, czem są dla niego te długie godziny, które ją odzwyczajają od domu i zwolna, podstępnie, odbierały ją jemu.

Wreszcie, wytrzymać już dłużej nie mogąc, nieśmiało, z tysiącennymi omówieniami, coś jej o tem napomknął.

— Widzę, wiem — zachnęła się, — zazdrosny jesteś o mnie. Wszyscy jesteście jednakowi!

Odchodząc, pocałowała go jednak w szyję i śmiejąc się, rzekła do niego:

— Dzieciaku ty! przecież ciebie kocham tylko!

— Wszyscy jednakowi! — powiedział.

A zatem nie był już dla niej tym nad wszystkich wyższym wybrańcem, w którym dotąd dumę swoją widziała? Nie był nim, jednym słowem straciła go w tłum, upokorzonego, skarłałego... I naprawdę zdawać mu się od tej chwili zaczęło, że zmałał...

A w jakiś czas potem:

— Słuchaj, nie chcę żebyś przychodził wieczorem do teatru; nie masz kiedy pracować. Od trzech już miesięcy partycya powinna być skończona. Na rolę swoją w niej czekam.

— Chcesz, żebym cię zostawiał samą?

— Wezmę z sobą Duchène, taki jak ona pies owczarski wystarczy mi zupełnie.

Duchène była to niemłoda krewna, z którą nie rozłączały się nigdy.

Wahał się i dręczył, audreczenia swego się wstydił. Miała jednak słusność, czasu miał zamała!

do pracy. Podał się, chodzić po nią tylko będzie.

Pomału, stopniowo, widywać ją zaczął roztargnioną, czemś zajęta, inną w rzadkich chwilach zbliżenia, niemającą już tego wdzięku dziecięcego, który takim był u niej powabem. Napróżno nie śmiało jej przypominać rozkoszne techwile dawniejsze, gdy jedno w duszy drugiego czytało, gdy ona, do piersi jego przytulona, zamknawszy oczy, myśli jego zgadywać umiała. Słuchała go roztargniona, uśmiechając się, że on to jeszcze pamięta... i na tem koniec!

Zdawało mu się, że udołu, z otchłani podnosi się czarna noc nicości i ogarnia go sobą całego, że w nocy tej sam jeden jest... sam jeden!

Pewnego popołudnia, przechodząc obok teatru, wstąpił machinalnie prawie. Skończyła się próba, pusto było w „foyer.”

W głębi korytarza, gwarem głosów rozbrzmiewającego, w jasnym obramowaniu drzwi otwartych rysowała się grupa jakaś. Nabok trochę usunięty, młodzieniec wytwornie strojny, z kwiatem w dziurce od guzika, zapinał rękawiczkę kobiety, która, o mur oparta, śmiała się, bynajmniej mu tego nie wzbraniając.

Śmiech ten znany był dobrze Albertowi. Na odgłos kroków jego, odwróciła się kobieta i żywo ku niemu pobięła.

— To ty! Chodźże prędko, B. szukał cię przed chwilą właśnie.

B. był to dyrektor teatru.

— Tędy chodźmy—rzekł Albert, wskazując głębi korytarza.

Chciał widzieć zblizka młodzieńca; pewien był, że to nie artysta. Kimże więc być może? Żona wsunęła mu rękę pod ramię.

— Drzwi zamknięte.

I szybko wiodła go za sobą, szczebiocząc jak dziewczyneczka roztrzępana.

Nie zastawszy już dyrektora, wracali razem do domu.

Po długim wahanu:

— Kto jest ten jegomość, co ci zapinał rękawiczkę? — zapytał Albert.

— Drugi reżyser. Ten... wiesz?

Kłamała. Ale dlaczego? Dlaczego nie pozwoliła mu widzieć tego człowieka?

Przez trzy dni walczył, trawił się, wahający i zwątpiały. Czwartego wieczora poszedł do teatru i, kupiwszy bilet, skrył się w kacie. Jak śliczną dziś była i jak cudownie śpiewała! Nie spuszczał z niej oka, śledził jej spojrzenia, jak myśliwy na czatach. Czasami, gdy mu się zdawało, że ona uśmiech komuś przesyła, spojrzeniem sałę całą przetrząsał.

Po drugim akcie, sam nie wiedząc czego chce, dotarł do wejścia artystów i przycisnął się do drzwi przeciwnych. Szum miał w głowie, w mięśniach wszystkich czuł naprężenie, o niczem nie myślał, czekał tylko.

Po drugiej strony ulicy czekała jakaś kareta, obok niej stanęła dorożka.

Skończyło się widowisko; Duchêne wyszła, znak dała karecie, a potem, przez chwilę się zatrzymując pod gazu światłem jaskrawym, ona, z twarzą przebijającą z pod czarnych koronek woła, a tuż za nią ten sam młody człowiek, z gardenią w klapie fraka, zpod roztwartego płaszcza futrzanego widniejąca.

Jednym skokiem rzucił się Albert na środek ulicy, w oczach mu się śmiło, zataczał się, jak człowiek pijany.

Przy dorożce czekała Duchêne, „pies owczarski;” śpiewaczka, dawszy jej znak by wsiadła, sama też wsiadła z kolei i przez drzwiczki, które powoli zamykał nieznajomy, podała mu obnażoną rączkę. Po całunek na niej złożył powyżej kostki i dorożka ruszyła z miejsca.

— Do klubul — rzucił rozkaz młody człowiek, wskazując do karety, która się szybko oddalała.

— Spóźniłem się dziś do teatru — odezwał się Albert, gdy blade, z kroplami potu na czole wrócił do domu.

I wahając się, zdławionym głosem, z odwróconymi oczyma, aby rumieńca jej nie widzieć.

— Wsiadałaś już do dorożki.

— A!

Chwila milczenia.

— Mielśmy na dzisiejszym przedstawieniu członków wielkiego klubu—niedbale odezwała się żona.— Szkoda żeś nie przyszedł wcześniej, byłabym cię przedstawiła.

Co mu zrobić należało? Scenę? z której wyszliby oboje zboleli, spodleni, ona śmiertelnie może ranna?

Niesmak zdjął go i przestach, a potem znużenie bezmierne...

— Nie rozumie — rzekł sam do siebie, — nie widzi.

Nazajutrz, poważnie i łagodnie, mówił jej o nieopisanym bólu tych, którzy życie w jednej miłości zawarli, o chorobliwej trwodze ogarniającej serca, które wielu już cierpień doznały. Całe biedne, udreżone serce swoje kładł jej tak przed oczyma, tłómacząc się z tego nieledwie.

Słuchała go obojętna. Nic niema na świecie wiecznego; prawdziwe to nieszczęście, że ludzie rozumieć tego nie chcą. Poco uparcie wynajdywać powody do cierpienia tam, gdzie żadnych niema bynajmniej?

Opanował się całym gwałtem woli i śmiejąc się, mówił:

— Przynajmniej przyznaj, że ci nie bardzo zawadza twój biedny zazdrośnik! Słuchaj, co by to było, gdybym, jak tylni innych, których widzisz wkoło siebie, co chwila dawał ci uczuć swoją władzę, we wszystko się wdawał i chciał grać rolę pana?

Spojrzał na nią; twarz jej, tak zwykle łagodna, przybrała ostry wyraz jakiś.

— Nie długobym to znosiła — chłodno odparła.

Gdy sam został, kręcił się wkoło parę razy, jak biedny pies zabłąkany. Zniweczonym się czuł, zestarzałym, czczym na duchu.

Węc to tylko miała mu do powiedzenia? to tylko pozostało z tej miłości bozko silnej, co mu była wiarą serca. Życiem duszy jego? to tylko! Dobroci nawet nie zostało z tej miłości ani trochę... Ona także ból mu zadawała!

Przeszedł w myśli czarne godziny przeszłości, niewdzięczność braci, wyrzeczenie się go przez dziecię...

— Nie będę już cierpieć dłużej — rzekł sobie, — nie zasługuję na to.

I żył sobie otworzywszy, czekał śmierci.

Gdy mu na ratunek przybyli, oddychał jeszcze, życie znowu odebrało go sobie, idyotę zrazu, obłąkanego później trochę.

Napróżno żona walczyć chciała o niego z obłądem (w gruncie bowiem kochała go ona bardzo, kochali go też bardzo bracia, i dziecię kochało go także). Nie poznawał jej, gdy się do niego zbliżała, chciał się rzucać przez okno. Zamknęto go w domu obłąkanych; od tej pory zupełnie już był spokojny.

Upłynęło dwa lata. Ona miała lat dwadzieścia trzy zaledwie, w całym kwiecie była młodości, talentu, miłości dla życia. Otrzymała dla niej rozwód; gdzieś między obcych, za mąż iść miała.

On, codzień w samo południe, z całą powagą żałobnika, umarłych swoich grzebie.



X.

Zdawaćby się mogło, że pora obecna nie sprzyja muzyce, bo jakże można w lecie zgromadzać się w sali gorąca pełnej i wśród mąk upalnych oddawać hołd Euterpie?

To też w Warszawie panuje pod tym względem cisza zupełna. Muza drzemie od kilku miesięcy, a kapłani jej poszli w rozsypkę. Niektórzy z nich, znużeni pracą zimową, nader dla artysty ciężką, używają spoczynku wśród ciszy wiejskiej i bawią się w sielankę.

Inni znów przemieniają się w ptactwo wędrowne i objeżdżają miejscowości kąpielowe, aby osładzać kuracjom tradycjonalne nudy.

Istotnie, w naszych zdrojowiskach i zakładach leczniczych niezbyt wesoło schodzi czas zgromadzonym gościom. Miałem sposobność poznać je w dość znacznej liczbie i w większości znalazłem zupełny brak jakiegokolwiek rozrywki, a co gorsza, spostrzegłem apatię ogólną i brak inicjatywy, aby jakąś ożywiającą zabawę wymyśleć i urządzić.

W takich razach przybycie koncertanta bywa pożądanem, chociaż się zdarza i tak, że goście, znużeni, jak również zmęczeni, leczeniem, nie okazują żadnej chęci do rozkoszowania się popisami wirtuozowskimi. Dziwi mnie to niepomnie, gdyż w naszych miejscowościach kąpielowych, z małym wyjątkiem, najgorsze są zawsze kapele, fałszujące przeraźliwie. Składają się na nie podrzędni zwykłe muzykanci, których najważniejszą czynnością być się zdaje witanie nowo-przybyłych i żegnanie odjeżdżających jednym i tym samym „Marszem” zwykle z „Córki Regimentu.”

Rzępola go pod oknami mieszkania, lub w sieni tak długo, póki znużony i rozstrojony kakofonią „jaśnie” gość nie rzuci im rubla odczepnego.

Granie ich przy źródle tego jest rodzaju, że koło orkiestry zawsze jest pustka. Wszyscy uciekają w najdalsze zakątki parków i ogrodów, by tylko nie słyszeć zęcań się nad biedną muzyką.

Przejeżdżając raz przez jedno z bardziej oddalonych zdrojowisk naszych, byłem świadkiem, jak goście tłumnie poszli na skargę do zarządzającego zakładem, że muzyka odegrała jakiś ustęp z fałszami, przechodzącymi wszelkie wyobrażenia.

Wezwany do wytłómaczenia się z tego skandalu, „dyrektor” orkiestry dał wyjaśnienie następujące:

— Kazałem grać wielki balet z „Roberta Dya-bła,” ale ten gałgan trębacz zgubił nuty swoje i fletu, więc im dał na to miejsce do grania kankana z „Orfeusza w Piekło.” Jedni tedy grali sobie to, a inni owo.

— Jakes ty mógł na to pozwolić! — krzyknął za-
perzony administrator.

— Wielmożny panie — mówi „dyrektor” (staro-
zakonny) z pokorą, — ja myślałem, że dyabeł z pie-
kłem się zgodzi, boć to jego mieszkanie.

W taki to sposób uprawiana muzyka nie na wie-
le przyda się, aby „uprzyjemnić” chwile pobytu,
wedle utartego wyrażenia, JW. i WW. gościom. Dla
wyleczenia więc schorowanych, dzięki fałszom,
uszuw, warto przecie posłuchać dobrej i artysty-
cznej gry, lub też uroczego śpiewu primadonny.
A jednak w wielu razach koncerty letnie nie udają
się wcale, zapewne dlatego, że zanadto przypomi-
niają sezon zimowy, o którym pragnęłoby się zapo-
mnąć przez te kilka tygodni pobytu za murami
wielkiego miasta.

Koncertanci, mający zamiar robić wycieczki ar-
tystyczne letnie, powinni by pomyśleć nad zrefor-
mowaniem swych popisów, nadając im formę ze-
wnętrzną zasadniczo odmienną od koncertów zimo-
wych. Co zrobić powinni, nie wiem, bo i sam w tej
chwili na żaden pomysł wpaść nie mogę, ale od cze-
góż dowcip i długo ciągnąca się zima? Podczas
niej można przecie obmyśleć i z kolegami wspólnie
ułożyć coś zupełnie świeżego i odrębnego.

Jak już wyżej nadmieniałem, w sezonie letnim
w Warszawie muzyki niema wcale, a o tem, co się
dzieje na prowincyi, nie warto wspominać, bo i tam
głucho.

Za granicą jednakże, a osobliwie w Niemczech,
dzieje się zawsze w lecie coś niezwykłego, a chociaż
sale koncertowe w wielkich miastach bywają za-
mknięte, mimo to muzyka kwitnie w najlepsze. Po-
ra letnia jest tam szeregiem różnych „uroczystości
muzycznych,” urządzanych na olbrzymią stopę
w miejscowościach, gromadzących zwykle w tym
czasie znacznie większe tłumy przejezdnych.

W tym zaś roku festynów takich odbywa się wię-
cej niż kiedykolwiek, z powodu różnych jubileu-
szów, z których najważniejszym jest obchód stule-
tniej rocznicy śmierci Mozarta, tego wszechświato-
wego geniusza muzycznego.

Istotnie, twórca „Don Juana” do tych wyjątko-
wych ludzi, świata całego własnością będących, na-
leży.

Europa wiedziała już wtedy o nim i mówiła, gdy
jako siedmioletnie dziecko grą swoją wzbudzał po-
dziw i zapal na dworze cesarza Austrii i na kon-
certach publicznych.

W czternastym roku życia widziano go jako wy-
bornego dyrektora orkiestry, kierującego swojemi
utworami!

Nie mając jeszcze lat dwudziestu, otrzymał od
papieża order i zdawało się że świetna, zaszczytów
i bogactw pełna przyszłość otwiera się przed tym
nadzwyczajnym człowiekiem.

Lecz zawiść czuwała. Mozart miał zbyt wielki
geniusz, aby go znosić mogły obok siebie mierne
talenciki lub zdolnostki, umiające tylko pochleb-
stwem i uniżonością zdobywać korzystne i świetne
posady. Stało się tedy tak, jak zwykle dzieje się
na świecie. Wielki, nieporównany Mozart biedę
cierpiał, bo czując swoją wyższość, hardo głowę pod-
nosił i gdy trzeba było bronić swej godności, na-
wet przed cesarzem się nie ugiął.

(Dokończenie nastąpi.)

Z chwili bieżącej.

* Szpital w Tworach niezadługo ma być otwar-
ty; etat jego już został oznaczony. Ogółem po-
mieścić ma 420 chorych, z tych 20 pierwszej klasy,
ośmdziesięciu drugiej. a resztę w salach ogólnych.
Dochody i rozchody, od 23 września (daty otwarcia)
do końca roku obliczono na 56,000 rs.

Dotąd atoli niewiadoma jest opłata, jaka pobie-
rana będzie od umieszczania chorego w każdej po-
szczególnej klasie, a to dla interesowanych rzecz
podobno najważniejsza. Niejeden z tych, którzy
mając chorego do umieszczenia w szpitalu musi się
zawczasu obejrzeć za środkami pokrycia kosztów;
dlatego dobrze by było, żeby już dziś warunki przy-
jmowania pacjentów do Twor publicznie, szcze-
gółowo ogłoszone zostały.

* Szpital Dzieciątka Jezus. Projekt zakupna
starego szpitala Dzieciątka Jezus, a zbudowania
nowego na folwarku Świętokrzyskim przez spółkę
kapitalistów francuzkich, o którym wspominaliśmy
już na tem miejscu, przychodzi do skutku, pozy-
skał już bowiem zatwierdzenie ministerium spraw
wewnętrznych i skarbu. Cena kupna starego szpi-
tala ograniczona została na 1,400,000 rs.

Na tem pomieszczeniu szpitala zyskają niezawo-
dnie i chorzy i zdrowi; część miasta, w której mie-
ści się szpital dzisiejszy, ożywi się, upiększy, otrzy-
ma nowe ulice, ale też zmieni fizyognomię do nie-
poznania, a pamięć zacnego kapłana, wielkiego
miłośnika ludzkości, zatrze się z czasem wraz z pa-
mącią murów dźwigniętych, z którymi imię jego
było zrosnięte.

Czy nie godziłoby się, wobec ziszczenia projektu
przenosin szpitala, pomyśleć o wzniesieniu choćby
skromnego pomnika dla Baudouina na placu Wa-
reckim, albo na placach powstałych po zburzeniu
dzisiejszych gmachów szpitalnych?

* Fotografia nasza zrobiła nam zawód. Zda-
wało się że w gronie, pracowników tego fachu pa-
nuje jakiś ruch zdrowy i żywotny. Nasłuchaliśmy
się i naczytali o zamierzonej wystawie fotograficz-
nej, o tawarzystwie wzajemnej pomocy utworzyć
się mającem z fotografów, budowali się powzię-
tym przez fotografów zamiarem święcenia niedzieli
i uroczystych świąt kościelnych, — tymczasem te-
raz słyszymy, że nic z tego wszystkiego. Wystawy
nie będzie, bo... bo nie będzie. Rzeczy takie robią
się tylko wspólnemi, zgodnemi siłami, a u naszych
fotografów miejsce zgody i wspólnych dążeń za-
jęła niska *jaalousie de métier*. Towarzystwa nie
będzie, gdyż podany projekt ustawy władze odrzu-
ciły; trzeba by napisać nowy, zgodniejszy z ustawą
normalną, ale nie będzie komu tego zrobić, a zre-
szta naco by się to zdało, skoro panowie fotogra-
fowie jeden do Sasa, drugi do lasa. I święcenie
niedzieli nie przyjdzie do skutku, z powodu „niewła-
ściwej konkurencji” kilku właścicieli zakładów
fotograficznych. Tego najmniej się spodziewali-
śmy; — zdawało nam się, że dotąd przynajmniej
wszyscy warszawscy fotografowie są wyznania chre-
ściańskiego.

* Bezrobocie, jeden z najciekawszych produk-
tów tego XIX wieku, *fin de siècle*, którego my
tutaj, dzięki Bogu, z widzenia nie znamy, miewają
czasem zaprawdę smak nieszczególny. Tak na-
przykład w Paryżu, który już z pewnością prze-
szedł przez wszystkie bezrobocie, jakie tylko bujna
fantazyja anarchistów wytworzyć zdołała, obecnie
nastąpiło bezrobocie grabarzy i stróżów cmentarnych.
Żadna rzecz! Wystawić sobie tylko, w takim
mieście jak Paryż, w lecie, choćby tylko dajmy na
to przez trzy dni, wszystkich nieboszczyków wstrzy-
manych w ostatnim pochodzie na miejsce wiecznego
spoczynku... Niema co! Trzeba się na jedno zde-
cydować, albo na zaraze, albo na podwyższenie
płacy grabarzom... Zaprawdę, dziwne pojęcia ma-
ją dzisiejsi prawodawcy i na dziwnych zasadach
opierają się dzisiejsze prawa. Wolno wywłaszczyć
człowieka z najprawniej posiadanej własności na
rzecz dobra interesu publicznego, a ordynarnego
grabarza nie można zmusić, żeby wykopał grób,

w imię największego dobra ludzkiego, jakim bez-
wątpienia jest zdrowie publiczne...

* Teatr. Wrzesień będzie miesiącem otworze-
nia rozmaitych instytucji, a między innemi i prze-
budowanego teatru Wielkiego, który z pewnością
będzie już niebawem gotowy, odośnie bowiem
ministeria zgodziły się na udzielenie pożyczki
w kwocie 70,000 rs. na ostateczne jego ukończenie.
Zatwierdzono również pożyczkę 380,000 rs. na
wzniesienie domu teatralnego dochodowego, którego
budowa rozpocznie się już zapewne z wiosną roku
przyszłego.

* W Towarzystwie muzycznym z dniem 1 wrze-
śnia rozpoczynają się kursa doroczne w szkole mu-
zycznej i w szkole dykcji i deklamacji, w których
wykłady odbywać się będą jak w roku zeszłym.
Dyr. Noskowski nauczać będzie bezpłatnie śpiewu
zbiorowego oraz zasad muzyki, co do opłat za inne
wykłady, poinformować się można w kancelarii
Towarzystwa, w której przyjmują już zapisy codzien-
nie od 11 do 1 w południe i od 6 do 8 wie-
czorem.

* Teatr ludowy jest zwykle marzeniem ludzi,
którzy się nigdy ani ludu, ani teatru naseryo nie-
dotknęli. W Warszawie miało się zebrać kilku
takich marzycieli, którzy myślą o wzniesieniu dla
takiego teatru gmachu przy ulicy Marszałkowskiej,
mającego pomieścić w sobie 1,500 ludzi. Panowie
ci o dwóch rzeczach zapominają: naprzód że u nas
sztuk tak zwanych ludowych jest jak na lekarstwo,
a zpośród tych niezmiernie znów mały procent
sztuk *dla ludu*; — powtóre, że u nas lud do teatru
nie chodzi, *lud miejski*, to jest to, co stoi poniżej
średniej zamożności rzemieślnika. Niema więc ani
dla kogo ani dla czego budować u nas teatr ludo-
wego. Najlepszy mamy przykład na teatrach ogród-
kowych, które, z początku zwłaszcza ich pojawie-
nia się u nas, wielkim głosem nawoływano na tę
humanitarno-cywilizacyjną drogę *teatru ludowego*,
i z których choćby jeden byłby się dał namówić
i byłby nią poszedł, gdyby nią iść było podobna.
Były nawet w tym kierunku szczerze, z ofiarami
materiałnemi połączone usiłowania, ale nie zdały
się na nic. Powiadają że z próżnego i sam Salomon
nalać nie umiał.

* Oddział kobiecy urządzony będzie na wysta-
wie wszechświatowej w Chicago. Już sam budynek
na jego pomieszczenie wzniesiony będzie według
planu architekta-kobiety. Ogromne galerie obej-
mować będą utwory pędzla i dłuta kobiecego, ogólna
będzie biblioteka książek wyłącznie przez kobiety
napisanych, ogólna sala dla kobiet dziennikarzy.
Jedną ciemną (?) stroną tej ekspozycji geniuszu
kobiecego będzie — kuchnia, w której kobiety nie-
wiadomo czy będą gotowały, ale będą miewały
odczyty o sztuce kucharskiej. Ponieważ w Ameryce
wszystko idzie po amerykańsku, to jest ani rusz
bez grubej reklamy, więc Europę objeżdża osobiście
jejmość pani Potter-Pakner i zachęca zacofane Euro-
pejki do wzięcia udziału w wystawie.

G. Cz.

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na Prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —.
Półrocznie . . .	rs. 2.	Półrocznie . . .	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie . . .	rs. 1.	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Numer 35 wyszedł z druku i zawiera:

Z dziedziny botaniki, chlebowce. — Wieś i miasto
(wiersz). — W niewoli u Arabów (powieść, z drze-
worytem). — Przy chorej matce (z drzeworytem). —
Czyny nauczające. — Wytrwałością a pracą (po-
wieść). — Zagadka. — W dodatku: Dlaczego się
Terenia nudziła? (z drzeworytem). — Bóg Stwórca
(wiersz). — Na wsi, przez Ludwika Niemojowskie-
go. — Piesek (wiersz). — Złośliwe zęby. — Odpo-
wiedzi od redakcyi.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się
dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

CENY NIZKIE.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.
Skład Mat. Aptecznych
Trzeciński, Urbanowicz i Różycki.
Krakow.-Przed. 17
wprost kościoła po-Karmelickiego,
w WARSZAWIE.

PRACOWNIA 109 1-6

SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Czesławy Chelmskiej,
Marszałkowska Nr 135, miesz. 11.
Przyjmuje wszelkie obstalunki na sezon bieżący, które wykonywa podług ostatnich żurnali po cenach bardzo umiarkowanych.

S. PRZEZOZIECKI.
Magazyn ubiorów DLA DZIECI, mundury i szyniele DLA UCZNIÓW. 1101-12
Kotzebue Nr 2, róg Wierzbowej.

MAGAZYN
Strojów Damskich
GUSTAWY WACHS
ulica Królewska № 51,
w domu W. Neufelda. 89-7
W WARSZAWIE.

Marya Matuszewska
PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ
w Warszawie, Leszno 28,
zawiadamia, że codziennie od godz. 10 do 6 na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic-przychodnich, pensyonarek i półpensyonarek. 2-2
Lekcje rozpoczyna się 20 Sierp. 1 Wrześ.

2 k. 50
Wolki krepowe " 13
Suknie żałobne " 4
Suknie pośmiertne " 4
Kapy atlasowe " 1
Czapki i pantofle " 28
Trumny metalowe " 10
" drewniane " 3
Więce metalowe " 25
Kompletne pogrzeby " 25
W WARSZAWIE
Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
Z. Fijałkowskiego,
Krakowskie-Przedmieście № 1 (obok koś. św. Krzyża).
Magazyn na ulicy Senatorskiej zupełnie zwinął.

Kapelusze żałobne od rs. 2 k. 50
Wolki krepowe " 13
Suknie żałobne " 4
Suknie pośmiertne " 4
Kapy atlasowe " 1
Czapki i pantofle " 28
Trumny metalowe " 10
" drewniane " 3
Więce metalowe " 25
Kompletne pogrzeby " 25
W WARSZAWIE
Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
Z. Fijałkowskiego,
Krakowskie-Przedmieście № 1 (obok koś. św. Krzyża).
Magazyn na ulicy Senatorskiej zupełnie zwinął.

LUDWIK ORTHWEIN
MAGAZYN TAPICERSKO-DEKORACYJNY
(Plac Teatralny)
12 SENATORSKA 12
(Pałac Blanka.)
108 1-8

Fabryka egzystuje od 1875 r. Twarda 2.
Magazyn Bielizny Damskiej i Męskiej oraz Skład Płócien
I WYROBÓW POŃCZOSZNICZYCH
„LEONA„
123 Marszałkowska 123
(wprost kliniki),
W WARSZAWIE.
Poleca w znacznym wyborze: Koszule damskie i męskie, kołnierzyki, mankiety w najświeższych fasonach, chustki do nosa, krawaty, spiniki, szelki, pończochy, skarpetki oraz wszelkie wyroby trykotowe, wełniane, jedwabne i bawełniane. Sprzedaż hurtowa i detaliczna. Zamówienia wykończa spieszenie i starannie. Ceny najniższe.

A LA PARISIENNE
ulica Chmielna Nr 30 mieszkania 2
(pomiędzy Marszałkowską a Bracką) w Warszawie.
Pracownia sukien, okryć damskich i ubranek dzieciennych. Wykonywa wszelkie roboty podług paryżskich żurnali z własnych i powierzonych materiałów po cenach umiarkowanych, przytem stroje i wogóle bielizna. Przy pracowni znajduje się upoważniona przez Rząd
SZKOŁA KROJU I SZYCIA
sposobem francuzkim podług metody **Worth'a.**
Przy pracowni przyjmują się panienki do nauki i na stałe. Wydają się patenta.

do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga **Plato v. Reussnera:**
Najlepsza Metoda
do nauczania się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ach miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprowie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 85, 30, i 10. **Najnowszy elementarz polski** z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 4. Powiatki polsko-niemieckie 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 złodziei** 15 kop. Powieść **Myśliwi Głusz** 10 kop. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20. Skład główny u autora, (Pl. v. Reussnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie.)

Pierwszorzędne Kaucyonowane Biuro NAUCZYCIELSKIE
F. Sikorskiej,
w Warszawie, Niecała Nr 12.
Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek i bon. 102 3-6

ZAKŁAD REPERACYJNY
i fabryka wyrobów 1033-10
TOKARSKO-GALANTERYJNYCH
Feliks Krzemiński
w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 3.

W Warszawie. 106-2-12
FABRYKA KWIATÓW
A. Rastawieckiej,
Bieleńska 8,

Wyróżniająca się dobrocią
WODA KOŁOŃSKA
ABE
jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych magazynach perfumeryjnych i galanterijnych.
Skład Główny, Aleja Jerozolimska Nr 64, w Warszawie. 104 2-6

Zakład wywabiania Płam i Farbiarnia
LUDWIK STRASZKIEWICZ,
przy ul. Kruczej Nr 34,
W WARSZAWIE. 105 2-6

Podziękowanie.
Brak mi słów dla wyrażenia wdzięczności panu **Juljanowi Dreherowi**, optykowi, utrzymującemu swój zakład na ulicy Szpitalnej Nr 6, za trafny i nader staranny dobór okularów (dalekowszkie), i binokli do czytania. Mogę go tylko polecić wszystkim co dla poratowania wzroku są w potrzebie zaopatrzenia się w sztuczne szkła, a pragną nabyć je tanio i dobrze.

Dym. Podpułk. A. NECKI.

Krawiecki Zakład Reperacyjny
oraz
Pracownia Ubiorów Męskich
Nowy-Świat 57, m. 5.
Przyjmuje obstalunki i reperacje po cenach najniższych. Wybawianie płam i czyszczenie sposobem chemicznym.
Nowy-Świat 57, m. 5.

D-r Med. ADOLF KOZERSKI,
odbywszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposiego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i w... Od 1-2 przyjmuje wyłącznie kobiety.
Nr 3. P R Ó Ż N A Nr 3.

L. MERGENTHALER I SYN
ZAKŁAD
tapicersko-meblowy
6 KRÓLEWSKA 6,
W WARSZAWIE.
1181-10

Pralnia NATALII
28. Nowy-Świat 28. 7710-13
Po powrocie właścicieli z praktyki w Berlinie, przyjmują do prania sposobem czystego-spodarczym nie niszczącym bielizny.

FRANCUZKA SZKOŁA RZEMIOŁ
SZPITALNA Nr 3
(dawniej Mazowiecka Nr 11)

Wykład kroju systemu Laferiere i Wortha, szycia krawatów, gipiur, kapeluszy, derkowych i włóczkowych robót, haftu białego i artystycznego, malarstwa na porcelanie, jedwabiach, płótnie i glinie. Wydają patenty, przyjmują pensyonarki, dla praktycznych zajęć jest przy szkole pracownia sukien i okryć. 92-3-4

Fabryka Gorsetów
WILHELMA SIEWERT
w Warszawie, S-to Krzyżka 19.
28-3-6

Byli krojcy (en de taille) fabryki Gorsetów W. Steinera, a o statnio główny krojcz firmy „à la Grace” przyjmuje wszelkie obstalunki oraz prani i reperację Gorsetów po możliwie niskich cenach.

Wybór gotowych gorsetów od rs. 2.

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
EUFEMII PILNIAKOWSKIEJ,
uczennicy słynnego w Paryżu **Worth'a.**

Krój najlepszy i najłatwiejszy w Europie systemem oryginalnym **Worth'a.** Zapis uczennic codzienny. Patenty uzdolenia wydają się potwierdzone przez Wyższą Władzę.

Gruntowna nauka kroju sukien i wszelkich okryć damskich. Rs. 10

PRZY SZKOLE

PRACOWNIA SUKIEŃ

gdzie takowe wykonywane są przez na pierwsze specjalistki, podług najświeższych żurnali paryżskich.

Ceny bardzo przystępne.

Nr 54. NOWY-ŚWIAT Nr 5

Dnia 1 Lipca r. b. otwartą zostanie szkoła haftu białego, kolorowego, złotem i srebrną oraz kroju. Ulica Pańska Nr 18 miesz. (dom Fiorentinich) **Pracownia MARI**
Zapis uczennic od 10 rano. 65-9